

M. MACKENZIE



# KOLEKCJONER

W jej życiu pojawiło się dwóch mężczyzn.  
Któremu z nich może zaufać?



Copyright ©  
M. Mackenzie  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2023  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

Redakcja:  
Katarzyna Moch  
Korekta:  
Agata Bogusławska  
Karolina Piekarska  
Maria Klimek  
Redakcja techniczna:  
Paulina Romanek  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-651-6

**M. MACKENZIE**

# **KOLEKCJONER**

**OŚWIĘCIM 2023**

## **Ostrzeżenie**

W książce występują sceny nieodpowiednie dla młodych  
i wrażliwych czytelników.

## Prolog

Materiał narzuconego na głowę kaptura skutecznie izolował go od widoku ludzi zebranych wokół, a głośna muzyka, która dudniła mu w uszach, zagłuszała częściowo myśli. To właśnie dla niej się tutaj znalazł, dla sieczki puszczonej z głośników, dla rozluźniającego spięte mięśnie alkoholu, dla mroku, jaki panował w lokalu.

Spojrzał na swoje dłonie. Palce otaczające szklankę z alkoholem drżały, chociaż nigdy mu się to nie zdarzało. Zawsze był opanowany: w pracy, w życiu, wszędzie. Teraz natomiast to wszystko zaczęło się pierdolić, straciło sens, bo został z niczym. Wzmocnił uścisk na naczyniu, uniósł je wyżej, po czym cała zawartość wylądowała w jego gardle, paląc mu przelyk tak mocno, że aż musiał odchrząknąć. Chwilę walczył z cofnięciem się trunku, ale w końcu smak przestał mu przeszkadzać. Alkohol zaczynał powoli rozluźniać członki, przyjemnie szumieć i zarażem mącić w głowie.

Sam nie wiedział, jak długo już przebywał w środku, nie miało to jednak większego znaczenia. Nie chciał wracać do domu, zwłaszcza teraz, gdy wydawał się niebywale pusty, jakby on również cierpiał. Niejednokrotnie słyszał, że domy posiadały duszę – ten jego właśnie ją utracił. Pokręcił głową i przywołał skinieniem barmana, po czym położył przed sobą kolejny banknot. Nie podniósł na mężczyznę wzroku, wystarczył gest ręki i bursztynowa ciecz ponownie wypełniła przezroczyste naczynie.

– Ostatni – wymamrotał do siebie i od razu się skrzywił, bo gryzący posmak osiadł mu na języku.

– Mogę się dosiąść? – Przez ciężkie basy i tabuny myśli przedarł się kobiecy głos.

Pożałował odwrócenia głowy w chwili ujrzenia młodej dziewczyny. Padające na nią światło uwidoczniło miedziane refleksy w jej włosach, przez co zamrugał, upewniając się, że nie była zjawą. Była prawdziwa.

Zamiast zająć miejsce, tak jak sugerowało to jej wcześniejsze pytanie, nieznajoma oparła się o blat baru. Bez problemu mógł zlustrować ją całą, a jako że był facetem, zrobił to bez mrugnienia okiem. Błyszcząca sukienka z ledwością zakrywała jej pośladki, natomiast dekolt idealnie ukazywał apetyczne krągłości. Kutas mu drgnął, kiedy wyobraźnia podsunęła wizję wsuwania go między dwie półkule.

– Za głośno tutaj, poczekam na zewnątrz... – Odwróciła się, po czym zaczęła przedzierać przez tańczących ludzi.

Przeniósł spojrzenie na pustą szklanekę, chwilę się wahając, i w końcu wstał. Głowę nadal miał spuszczoną, dlatego też nie dostrzegał twarzy ludzi, których mijał, ale na tym mu właśnie zależało. Chciał ten wieczór spędzić w samotności, jednocześnie nie będąc sam. I chociaż nieznajoma popsowała mu szyki, nie zamierzał wybrzydzać.

Gdy pchnął metalowe drzwi, owionęło go rześkie czerwcowe powietrze. Zaciągnął się nim głęboko, rozglądając się na boki. Dostrzegł kobietę kilka stóp dalej, opartą o betonową ścianę budynku, więc wolnym krokiem zaczął się do niej zbliżać. Nie odrywali od siebie wzroku i kiedy tylko znalazł się bliżej, ona po prostu odbiła się od ściany. Szedł za nią w milczeniu, obserwując kołyszące się pośladki, które coraz mniej przypominały je kształtem, w miarę jak oddalali się od lokalu. Dzięki ogromnemu księżycowi widział połyskujący materiał falujący w rytm jej kroków.

Wreszcie przystanęła i dopiero wtedy się rozejrzał. Wcześniej niczego ani nie słyszał, ani nie zauważał, bo był skupiony na jednym, teraz natomiast, mimo późnej pory, widział zarys skał, słyszał szum wody. Rozpoznał to miejsce. Może niezbyt dobrze je pamiętał, ale wiedział, gdzie się znajdował.

Palce sięgające do paska jego spodni skutecznie oderwały jego uwagę od otoczenia. Nie oponował; docisnął dziewczynę mocno do skały i zmiądzzył jej usta pocałunkiem. Poczłł owocowy smak jej szminki, kiedy wdarł się językiem pomiędzy jej wargi. Dłoniemi rozpoczął wędrówkę – zsunął ramiączka sukienki, odsłonił piersi, dotarł do łechtaczki. Cichy jęk niezadowolenia wyrwał się z gardła kobiety w chwili, w której się od niej odsunął. Nie zamierzał bawić się w bezsensowną grę wstępną, bo ona była tutaj dla niego, a on miał zamiar ostro ją zerznąć. W pierwszej jednak kolejności musiała mu obciągnąć.

Nagle przykucnęła, biorąc całego penisa do ust, jakby rozumiała jego potrzeby, albo może to tylko zamroczony alkoholem umysł znalazł własne wyjaśnienie. Bez wahania złapał ją za miękkie włosy. Chciała się wycofać, ale przytrzymał ją dłużej, czując na podbrzuszu ciepło wydychanego przez nos powietrza. Dławiła się, więc na moment poluźnił uścisk i pozwolił jej na zaczerpnięcie tlenu, po czym znowu przyciągnął ją bliżej, słysząc ten sam odgłos dławienia. Gdy puścił jej puki, kobieta zakrztuściła się, jednak nie dał jej szansy, by złapała oddech.

Pospiesznie wyciągnął kwadratowe opakowanie z tylnej kieszeni spodni, zsunął ubranie do kostek i kiedy tylko założył prezerwatywę, wbił się z impetem w ociekającą sokami cipkę. Kobieta krzyknęła głośno, więc zamknął jej usta pocałunkiem. Chocłż w jego opinii bardziej przypominało to gwałtowne zetknięcie się warg niż sam pocałunek.

Brał ją mocno, ugniatając piersi, szczypiąc sutki, nie bacząc, czy było jej dobrze, czy też nie. Jak w transie dążył do spełnienia – własnego.

– Kate... – Imię wyrwało mu się z gardła bez udziału rozumu.

Kobieta pod nim zamarła na chwilę i tym razem to jej głos przebił się przez mlaszczący dźwięk objajających się o siebie ciał:

– N-nie j-jestem Kate!

Zignorował echo imienia, które dudniło mu teraz pod czaszką. Nie przerwał, musiał dojść, a ona musiała się zamknąć. Zaciśnął dłonie na jej szyi i zrobił to na tyle mocno, że szarpnęła się, próbując go od siebie odsunąć. Był jednak zdecydowanie silniejszy, w tym starciu nie miała z nim najmniejszych szans.

– Puść mnie! Jesteś ch-chory – chrypiała, zaciekle walcząc o oddech.

*Jesteś chory, jeżeli myślisz, że mogłabym wybrać ciebie, a nie jego...*

To jedno zdanie wdarło się do jego umysłu z siłą pocisku rakietowego i zdemolowało doszczętnie resztki zdrowego rozsądku.

– Od zawsze mną gardziłaś. To on zawsze był na pierwszym miejscu – wysyczał.

W porywie szału zacisnął ręce na jej szyi jeszcze mocniej i tym samym granica między terażniejszością a przeszłością ostatecznie się zatarła. Przyciągnął kobietę do siebie, po czym, nie rozluźniając chwytu, pchnął na skałę. Jego zmysły zasnuła mgła, więc nie usłyszał głuchego odgłosu połączonego z desperackim jękiem. Pchnął ponownie i jeszcze raz, i kolejny, bez opamiętania mówiąc biodrami. Czuł zbliżający się orgazm, dlatego też zacisnął mocno palce. Miał wrażenie, że za chwilę jego paznokcie poranią skórę na jej szyi, jednak był zbyt blisko spełnienia, by głębiej się nad tym zastanowić bądź też przejąć ciszą i wiotkim ciałem kobiety.

Dopiero gdy dobił ostatni raz, a ciszę przeciął jedynie jego głos przepiętny przeżyta ekstazą, zorientował się, że ręce miał pokryte czymś ciepłym i lepkiem. Momentalnie rozprostował zastryglę palce, odskakując od nieznajomej. Ciało, jak w zwolnionym tempie, zsunęło się po kamieniu, na jego powierzchni zaś dostrzegł ciemniejszy ślad.

*Myśl!*



Nie potrafił się ruszyć. Tkwił w miejscu ze spodniami nadal opuszczonymi do kostek, ze sterczącym fiutem, nadal szczelnie otulonym prezerwatywą wypełnioną spermą, wpatrując się w zwłoki, które leżały na piaszczystym podłożu. Po rozwalonej na miążgę potylicy był pewien, że kobieta już nie żyła, i nagle poczuł coś, czego się nie spodziewał – podniecenie. Penis prężył mu się dumnie, chociaż powinien zwiotczeć. Poczuł podniecenie, jakiego jeszcze nigdy przy nikim nie odczuwał, jednocześnie próbował walczyć z rozprzestrzeniającą się w umyśle paniką i przerażeniem. I to właśnie one wprawiły w ruch jego kończyny, przywróciły go do rzeczywistości.

*Mysł!*

Rozejrzał się, nasłuchując uważnie, ale niczego prócz dźwięków natury nie wychwytał. Pospieszenie zsunął prezerwatywę, związał ją na końcu i schował do kieszeni bluzy, po czym naciągnął na pośladki spodnie i rozejrzał się kolejny raz. Złapał za nogi bezwładne ciało kobiety, upewniając się, że nie przeoczył niczego, i zaczął ciągnąć je w stronę, z której dało się słyszeć szum rzeki Frio.

Działał na pełnych obrotach, napędzany krążącą w żyłach adrenaliną, a po dotarciu do krawędzi skalnego uskoku nie zawahał się ani sekundy, tylko zepchnął zwłoki prosto w odmętę czarnej, spienionej wody.

*To nie tak miało się wszystko potoczyć.*

## Rozdział pierwszy

### Co ty tam robiłaś?

Pobyty w tym miejscu nadal był dla Charelle Clark niebywale bolesny. Oczy utkwione w literach znowu zaczynały ją szczypać, chociaż przez ostatnie cztery miesiące nie było dnia, żeby nie uroniła ani jednej łzy. Na razie nie umiała poradzić sobie ze stratą – pustka powstała w sercu była tak ogromna, że miała wrażenie, iż już nigdy się nie zasklepi. Napis, który zdobił kamienną płytę, rozmazywał jej się przed oczami raz po raz, a ona coraz częściej unosiła dłoń, by ocierać nią policzki. SOFIE BECKETT. Miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Nie była w stanie utrzymać emocji na wodzy. Łzy wdarły się do jej ust, wydobyły z krtani spazmatyczny szloch. Myśl, że już nigdy nie będzie dane jej porozmawiać z przyjaciółką, w dodatku jedyną, którą bardziej traktowała jak siostrę, przygniotła jej serce monstrualnych rozmiarów głazem. Usiłowała przypomnieć sobie początek tej przyjaźni, od kiedy dokładnie zaczęła się ich wspólna droga, ale umysł, zapętlony na makabrycznych obrazach, nie był w stanie przedrzeć się do wcześniejszych wspomnień.

Dopiero natarczywe wibracje telefonu zerwały łańcuchy rozpacz, która ciasno ją oplatała. Powoli wracała do rzeczywistości; zignorowała pierwsze połączenie, ale drugiego już nie dała rady. Rozplątała się z własnego uścisku i wyciągnąwszy komórkę z kieszeni, zmarszczyła nieznacznie brwi.

– Pani Beckett?

– Dzień dobry, kochanie. Nie przeszkadzam ci? – Głos po drugiej stronie był tak słaby, że musiała mocniej przycisnąć urządzenie do ucha.

– Dzień dobry. Nie, nie. Czy coś się stało? – Przetarła nos rękawem bluzy, nie bacząc na podłużny ślad smarków, pozostawiony na materiale.

– Char, potrzebuję pomocy – wyszeptała. – Nie potrafię tam wejść... Nie umiem... Muszę posprzątać... a nie potrafię otworzyć drzwi, zmusić się... – Słowa kobiety nagle stały się chaotyczne, przepełnione bólem.

– Pani Beckett, będę u pani za godzinę.

– Dziękuję.

Rozłączyła się. Znowu utkwiała wzrok w kamiennym prostokącie i nim się zorientowała, ponownie przytknęła telefon do ucha, od razu słysząc w słuchawce znajomy głos:

– *Tu Sofie Beckett, nie mogę odebrać, dlatego łaskawie powiedz, co ci leży na sercu, a ja oddzwonię...*

– Kto ci to zrobił? – zapytała. Nie czekała na sygnał nagrywania, bo wiedziała, że i tak nie uzyska na nie odpowiedzi. – Co ty tam robiłaś? – dodała z wyrzutem.

Kłęczała w niezmienionej pozycji jeszcze przez chwilę, jakby faktycznie czekała na odpowiedź, znak, cokolwiek, co wyjaśniałoby pobyt przyjaciółki w tamtym miejscu.

Niechętnie wstała, poprawiając uprzednio białą różę, którą dzisiaj dla niej przyniosła. Obok na nagrobku leżała ta wczorajsza. Przesiadywanie na cmentarzu od prawie dwunastu tygodni stało się czymś na kształt rutyny.

Wspomnienia z pierwszego miesiąca, tuż po znalezieniu zwłok Sofie, były niczym rozmyta plama. Niewiele kojarzyła z tamtego okresu, nawet pogrzebu dobrze nie pamiętała, bo naszprycowano ją taką ilością leków, że z ledwością stała na nogach. Wpatrywała się tępo w trumnę, ale jej nie dostrzegała. Później to już była równia pochyła: zakopywała się w pościeli, pragnąc przespać życie, oderwać się od rzeczywistości. Wtedy do akcji wkroczyła kawaleria w postaci rodziców i brata – to oni pomogli jej odbić się od dna.

Pokręciła głową, odganiając dudniące pod czaszką myśli, ucałowała swoje palce, po czym przyłożyła je do rowków w płycie.

– Wrócę jutro.

Objęła się ciasno ramionami, kiedy gęsia skórka pokryła odsłonięte skrawki jej ciała, i skierowała się ku żelaznej bramie.

\*\*\*

Niecałe czterdzieści minut później zaparkowała wysłużonego priusa na podjeździe, tuż przy jasnym parterowym domu. Kilka jardów dalej, po drugiej stronie podjazdu, stał rozbudowany, przerobiony garaż. Zgasiła silnik i to właśnie na tym drugim budynku skupiła wzrok.

– *Mówisz poważnie?* – *Charelle z szeroko otwartymi oczami próbowała doszukać się na twarzy przyjaciółki blefu bądź też żartu.*

– *Mam dwadzieścia cztery lata, wszędzie wściubiam nos i nawet dobrze mi to wychodzi.* – *Wzruszyła lekko ramionami. Podeszła do garażu, który wyglądem przypominał domek dla gości, i otworzyła drzwi na oścież.* – *Zapraszam, współniku.*

– *Ale... mówisz poważnie?*

– *Char... Od dwóch lat gnijesz w redakcji tej pieprzonej gazety i od dwóch lat serwujesz tym sukinsynom kawki, herbatki, nic poza tym. W dodatku ten ich dress code rodem z korpo...* – *warknęła.* – *Miałas pisać, publikować, przeprowadzać wywiady, szukać śladów zbrodni. Bądź wolnym strzelcem, tematy są wszędzie. Ja mam licencję detektywa, ty jesteś dziennikarką, a to będzie nasze biuro. Stworzymy zespół idealny!*

*Radość i zapach Sofie udzieliły się także jej i nie powstrzymała uśmiechu pojawiającego się na twarzy.*

– *Przyznaj się, dzięki mnie chcesz mieć łatwy dostęp do spraw Brysona.*

– *Masz mnie.* – *Zachichotała.* – *To jak, Clark? Wchodzisz w to?*

– *Jasne, Beckett. Z tobą zawsze...*

Podskoczyła na siedzeniu, słysząc pukanie w szybę. Wspomnienie przyjaciółki się rozmyło, a na jej miejscu pojawiła się Diana Beckett, patrząc na nią z niepokojem w oczach. Matka Sofie w ciągu tych czterech miesięcy postarzała się o dobre kilkanaście lat. Miała szarą cerę, a pod oczami ciemne worki, natomiast jej włosy, niedbale związane w supeł, wyglądały na przetłuszczone. Ona najciężej znosiła stratę córki, zwłaszcza że oprócz niej nie miała nikogo. Została sama, pogrążona w żałobie.

Wzięła głęboki wdech i sięgnęła do klamki. Tuż po tym, gdy stanęła blisko Diany, w nozdrza uderzyła ją nieprzyjemna woń alkoholu. Każdy na własny sposób radził sobie z problemami – matka Sofie wybrała jeden z najgorszych.

– Chciałam tam posprzątać – wytłumaczyła się, zanim Charelle zdołała wydusić z siebie przywitanie – ale...

– Ja to zrobię. Jadła coś pani?

– Nadal nie potrafisz zwracać się do mnie po imieniu...

Nie chciała sprawiać Dianie przykrości, bo ta za dużo wzięła ostatnio na swoje barki, więc uśmiechnęła się do niej nieznacznie, poprawiając rude, kręcone kosmyki. Te dzisiaj żyły własnym życiem i sterczały we wszystkie strony.

– Jadłaś coś? – powtórzyła.

Delikatny uśmiech, który rozjaśnił na chwilę twarz starszej kobiety, był niczym tchnięcie w nią promyczka nadziei.

– Nie jestem głodna, ale przygotowałam lemoniadę. Napijesz się?

– Chętnie skorzystam. Zajmę się najpierw mieszkaniem So...

– urwała nagle, spuszczaając wzrok na czubki trampek.

– Poczekam u siebie.

Widziała oddalającą się zgarbioną sylwetkę Diany, ale nie potrafiła w żaden sposób ukoić jej bólu, bo przecież sama sobie z nim nie radziła.

Gdy tylko postać zniknęła w głębi domu, Charelle powoli odwróciła głowę, docierając spojrzeniem do okien nad garażem,

gdzie mieszkała Sofie. Chwilę się w nie wpatrywała, jakby przyjaciółka miała się zaraz tam pojawić. Niestety nic już nie było takie jak dawniej.

Kilka minut później ociężale stawiała kroki, a z każdym kolejnym czuła coraz większy ucisk w żołądku. Zatrzymała się na moment tuż przed żółtymi drzwiami i wzięła kilka głębszych wdechów, aż w końcu zdobyła się na odwagę. Znajomy zapach perfum przyjaciółki, unoszący się w zaduchu, jaki panował w mieszkaniu, wycisnął z jej oczu łzy. Nie chciała ich już, chciała być twarda, poradzić sobie jakoś, ale na chęciach się skończyło. Przymknęła powieki, policzyła do dziesięciu i zacisnęła mocno pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę. Nie zwróciła uwagi na fizyczny ból, bo był milion razy lepszy niż ten siejący spustoszenie w sercu. Na powrót otworzyła oczy.

Od jej ostatniej wizyty w tym miejscu, te kilkanaście tygodni temu, nic się nie zmieniło. Materac nadal spoczywał na zbitych ze sobą paletach, w oknach wciąż wisiały kolorowe zasłony, a biurko ugięło się od zalegających na nim dokumentów, czasopism i błyszczących papierków po ulubionych cukierkach Beckett. Gdy Charelle przeniosła spojrzenie nieco w bok, zagryzła wargę do krwi, ale to i tak nie powstrzymało szlochu, który wyrwał jej się ze ściśniętego gardła, bo oto wpatrywała się w tablicę, na której powbijane pinezkami wisiały dziesiątki zdjęć, pamiątki, bilety z koncertów.

Podeszła do tablicy, przez moment zastanawiając się, kiedy podjęła decyzję, aby to zrobić, i sięgnęła do pierwszej fotografii. Przejechała opuszką palca po błyszczącej powłoce. Były na niej obie – ona i Sofie – i uśmiechnięte wznosiły toast. Tuż pod zdjęciem wisiało kolejne. Przedstawiało tatuaż. Niewielkich rozmiarów motyl z kolorowymi, rozmazanymi krawędziami został wykonany pod wpływem chwilowego zidiocenia, a przynajmniej tak powtarzała Beckett, odkąd tylko zrobiła go sobie na stopie.

Niechętnie odwróciła wzrok od zdjęcia; musiała wziąć się w garść, zapanować nad destrukcyjnymi myślami. Rozejrzała się po sypialni i zmarszczyła brwi, podchodząc bliżej łóżka. Coś ciemnego wystawało spod materaca, dlatego nie zawahała się ani sekundy i złapała za róg pościeli. Nie przypominała sobie, żeby Sofie cokolwiek chowała w takich miejscach, bo twierdziła, że lata, kiedy była nastolatką, już dawno minęły.

Usiadła na skraj łóżka i otworzyła – jak się okazało – kalendarz. Przy akompaniamencie boleśnie dudniącego serca sprawdziła koniec lutego, jednak dopiero na stronach z marca, w dniu, w którym Beckett wyjechała z Amarillo, dostrzegła niewielką notatkę, raptem dwa wyrazy: „Devine” i „Dex”, natomiast pod spodem widniała data „01-25-1987”. Nie zasługiwałyby na miano przyjaciółki, gdyby zignorowała tajemnicze informacje, dlatego wiedziała już, że nie pozostawi tej sprawy bez wyjaśnienia, w ostateczności tylko sprawdzenia.

\*\*\*

W nocy Charelle nie umiała zasnąć. Nie pomogły tabletki przepisane przez lekarza, nie pomogło także ciepłe mleko ani liczenie baranów, bo za to również się złapała, psiocząc na własną głupotę. Sięgała po najróżniejsze metody, ale sen nie nadchodził. Zerknęła w stronę budzika leżącego tuż przy łóżku i ze zdumieniem odkryła, że dochodziła czwarta. Myśli prześcigały się jedna przed drugą, powodowały coraz większy chaos w głowie, a ona nie umiała ich pohamować. Bezsilność, która ogarnęła każdą komórkę jej ciała, sprawiła, że nerwowo zrzuciła z siebie koc. Podszła do biurka i usiadła na krześle, po czym otworzyła klapę laptopa. Gdy tylko się uruchomił, wpisała w okno wyszukiwarki wyrazy: „Dex” i „Devine”. Chwilę trwało, jednak w końcu natrafiła na coś, co sprawiło, że krew płynąca w jej żyłach zaczęła

szumieć również w uszach, a palce coraz szybciej przesuwały się po klawiaturze.

Devine, miasto w stanie Teksas, leżące zaledwie osiemdziesiąt mil od miejsca, w którym znaleziono zwłoki Sofie.

To nie mógł być przypadek.

\*\*\*

Uchylenie powiek, gdy nadal czuł pod nimi zmęczenie, uwie-  
rające niczym drobinki piasku, nie było dla Dextera przyjemne.  
Krwawe obrazy przejmowały sny, przeistaczały je w koszmary,  
męczące go bezustannie od kilku lat. Tak działo się i tej nocy.

Przez chwilę wpatrywał się tępo w sufit, odganiając żerujące  
na nim wyrzuty sumienia, aż wreszcie wstał z łóżka i skierował  
się w stronę drzwi, za którymi mieściła się niewielka łazienka  
z prysznicem. Od napinania nocą mięśni cały był obolały i pokry-  
ty potem. Musiał go natychmiast zmyć, zarówno sen, jak i pot.  
Zsunął bieliznę i stanąwszy przy drewnianej toalecie, niechętnie  
spojrzał w lustro. Ciemne, prawie czarne oczy spoglądały na nie-  
go beznamietnie. Pozbawione blasku stały się niemal puste.

Zerwał kontakt wzrokowy z odbiciem, przeczesał włosy pal-  
cami, docierając nimi do dłuższego zarostu. Nie kwapił się, by  
zadbać o siebie, gdyż niezbyt mu na tym zależało, dlatego też  
ograniczał się do podstawowej higieny.

Odbił się w końcu od umywalki i odkręcił kurek w kabynie.  
Lodowaty strumień zaatakował jego rozgrzane ciało milionami  
ostrych jak igiełki kropel, przez co momentalnie dostał gęsiej  
skórki. Nie wyregulował jednak temperatury, pozwolił wodzie  
rozluźnić jego mięśnie, oderwać się na chwilę od myśli kłębią-  
cych się w głowie. Wystarczyło kilkanaście minut, by poczuł się  
o niebo lepiej niż zaraz po przebudzeniu, więc zakręcił kurek  
i wyszedł z kabiny, nie przejmując się mokrymi śladami, które  
tworzył na drewnianej podłodze. Z powrotem znalazł się w sy-



pialni, po czym otworzył szafę i złapał pierwsze z brzegu ubrania. Kwadrans później był już na zewnątrz. Z kubkiem kawy usiadł na schodach werandy, zastanawiając się, jakim cudem nie rozpadła się jeszcze pod jego ciężarem, jednocześnie uważnie obserwował budzącą się do życia okolicę.

Ranczo, które po śmierci ojca przeszło w ręce Dextera, wymagało ogromu pracy, a przede wszystkim zaangażowania. Gdy był dzieciakiem i matka cieszyła się zdrowiem, ten dom tętnił życiem, po brzegi wypełniony śmiechem i miłością, lecz kiedy jej zabrakło, uczucia zniknęły, z niego natomiast pozostała zaledwie skorupa, sypiąca się na każdym kroku. To miejsce lata świetności miało dawno za sobą, a on jedynie w nim egzystował, zaspokajając podstawowe potrzeby.

Upił łyk już chłodnej kawy i usłyszał głośne rżenie dobiegające ze stajni, która znajdowała się kilka jardów od domu, przez co nie powstrzymał uśmiechu. Tym razem bez zbędnego ociągania się wstał, po czym, nie zaprzatając sobie głowy odniesieniem kubka do kuchni, postawił go na deskach werandy i poprawił kapelusz, udał się prosto do stajni. Odgłos uderzania kopyt stał się głośniejszy, a rżenie przybrało na sile, kiedy wszedł do środka, gdzie znajdowało się dwanaście boksów, po sześć w rzędzie. Masywne, drewniane i wciąż solidne filary, rozstawione w równych odległościach, łączyły się z więźbami dachowymi. Spełniały funkcję mocowania, do którego przytwierdzone zostały skoble, po jednym na każdy boks. Tylko dwa z nich były zajęte, i to właśnie w tamtym kierunku szedł.

Jako pierwszy łeb wystawił czarny ogier czystej krwi arabskiej, parskając donośnie.

– Spokojnie, Lucyfer, damy mają pierwszeństwo... – Zaśmiał się i pociągnął zasuwę, by dostać się do środka.

Na usypanych kopcach siana leżała biała klacz. Przeżuwała coś w pysku, a gdy tylko znalazł się blisko niej, spróbowała się podnieść, co przy jej stanie wyglądało dość komicznie.

– Jak się czujesz, małeńka? – zapytał, po czym przejechał ręką po jej jasnym grzbiecie. – Musisz jeszcze trochę wytrzymać. Za tydzień będziesz wolna...

Nie w smak mu było posiadanie kolejnego zwierzęcia, w tym przypadku żrebaka, którego oczekiwała Azzari, ale też nie należał do facetów martwiących się na zapas, stwarzających sobie bezsensowne problemy.

– Pojadę zaraz do miasta, dokupię ci kilka przysmaków.

Zachowywał się nedorzecznie – wszak dyskutował z końmi – jednak tutaj tylko do nich mógł się odezwać, chcąc zachować normalność.

Wypuścił w końcu zwierzęta na pastwisko, wpieryw dokładnie sprawdziwszy zabezpieczenia, żeby Lucyferowi nie wpadł do głowy pomysł z ucieczką. Imię ogiera idealnie odwzorowywało jego charakter i niejednokrotnie miał w związku z nim urwanie dupy.

Droga do centrum miasteczka nie zajęła mu dłużej niż dwadzieścia minut. Wielokrotnie myślał o sprzedaży rancza, wyprawdzce z tego toksycznego miejsca, ale nie umiał, wręcz nie potrafił się z niego wyrwać. Korzenie przeszłości zbyt głęboko w niego wrosły, żeby mógł je z siebie wyplenić, a tym bardziej zapomnieć.

Odgonił pastwiące się nad nim sępy w postaci mrocznych myśli, które dzisiejszego dnia wyjątkowo mocno go gryzły, i wjechał na parking marketu. Niechętnie zgasił silnik i spojrzął na budynek. Gdyby nie świecąca pustkami lodówka i obiecane przysmaki, nie ruszyłby się z domu, ale coś musiał jeść, więc nie pozostało mu nic innego, jak zacisnąć zęby, by przetrwać te kilkanaście minut.

Zanim wysiadł, mocniej nasunął kapelusz na czoło. Walmart należał do niewielu sklepów, w których – bez względu na porę dnia – zawsze było tłoczno, jednak w swoim asortymencie miał dosłownie wszystko, na czym obecnie Dexterowi zależało.

Gęsia skórka wykwitła mu na ramionach, gdy tylko przeszedł przez ogromne szklane drzwi, bo nawiew nad wejściem działał na pełnych obrotach, dając upragniony chłód. Po ulewie sprzed kilku dni nie ostała się ani jedna kropla wody, a skwar, mimo że nie wybiło jeszcze południe, już lał się z nieba.

Pchnął wózek i zaczął wybierać tylko najpotrzebniejsze produkty. Tak postępował w każdej z alejek. Stanąwszy wreszcie przy kasie, odetchnął. I to był jego błąd. Kiedy dostrzegł, z kim przyszło mu się zmierzyć, wiedział, że pospieszył się z radością. Za to kobieta po drugiej stronie taśmy uśmiechnęła się szeroko. Poprawiła szybko blond włosy, po czym bardziej wypięła klatkę piersiową.

*Kurwa!*

Raz, w dodatku po pijaku, ją przeleciał, jakieś dwa lata temu, i do teraz odbijało mu się to czkawką.

– Dex, co za niespodzianka, dawno cię nie widziałam – zaszczebotała, na co się skrzywił i zapragnął chwilowo stracić słuch.

Nie odezwał się, nie miał ochoty. Pragnął jedynie w spokoju zrobić zakupy. Pakował więc produkty najszybciej, jak się dało, nie zważając na paplaninę tej, której imienia nawet nie pamiętał.

– ...za tydzień jest festyn. Może miałbyś ochotę...

– Nie – zareagował błyskawicznie i rzucił kasę na ladę, byleby wydostać się z tego miejsca.

Nie kwapił się do udzielenia dłuższej odpowiedzi, bo nie było najmniejszego sensu strzepić na nią języka. Pospiesznie złapał za trzy wypełnione po brzegi torby i nie oglądając się za siebie, a tym bardziej nie żegnając się, opuścił mury marketu. Widział niechętnie spojrzenia ludzi, którzy go mijali, ale zdusił w sobie chęć warknięcia w ich kierunku. Zdecydowanie wolał unikać problemów w postaci miejscowego szeryfa.

Podchodząc bliżej pickupa, usłyszał charakterystyczny klik odblokowujący drzwi, jednak gdy już miał chwycić za klamkę, do jego uszu dotarł męski, lekko zachrypnięty głos:

– A niech mnie, Dexter McCoy zaszczycił Devine swoją obecnością!

– Wal się – sarknął, ładując sprawunki na podłogę wozu, po czym odwrócił się i uśmiechnął nieznacznie kącikami warg.

– Milusi jak zawsze. – Blondyn przyjaźnie poklepał go po ramieniu, nie przestając się szczerzyć. – Obiecałeś wpaść na piwo.

– Jakoś mi zeszło.

– Stary, kogo jak kogo, ale mnie nie uda ci się zwieść.

– Postaram się wpaść któregoś dnia do baru. – Otworzył drzwi, chcąc w ten sposób zakończyć rozmowę.

Zdecydowanie wołał swoje stare ranczo niż fałszywie przesłodzone miasteczko i jego zakłamanych mieszkańców. To stwierdzenie nie dotyczyło jedynie Huntera Palmera, z którym kumpłował się od wieków i który, jako jeden z niewielu, zawsze był z nim szczerzy. Czasami aż do bólu.

– Dzisiaj wieczorem?

– Dzisiaj mam sprawę do załatwienia. Innym razem.

– W takim razie bądź na festynie.

– Postaram się – powtórzył, chociaż łągał mu w żywe oczy.

Hunter również to wiedział. Posłał mu pobłażliwy uśmiech, ramiona zaś zaplótł na muskularnej klatce piersiowej.

Dexter zignorował postawę mężczyzny, rzucając na odchodne:

– Dobrze było cię zobaczyć, odezwę się.

Wtedy też ruszył i wreszcie odetchnął pełną piersią, nie widząc w tylnym lusterku zmarszczonych brwi kumpla, który obserwował oddalający się samochód. Myślami był już w domu.

\*\*\*

Hunter nie odrywał wzroku od paki samochodu do momentu, aż ten nie zniknął za zakrętem. Dopiero wtedy wypuścił powoli powietrze i pokręcił głową, przymykając na sekundę powieki.

Kiedyś spędzali z Dexem weekendy przy piwie, grając w bilard, a w czasach szkolnych uganiając się za spódniczkami. Teraz jednak spotykał go wyłącznie w chwilach takich jak ta – przypadkowo.

Jeszcze raz spojrzął w miejsce, gdzie zniknął mężczyzna, po czym zerknął na zegarek, uświadomiwszy sobie, że jeśli się nie pośpieszy, to najzupełniej w świecie się spóźni. Ciche przekleństwo ucieкло mu z ust, bo do tego nie mógł dopuścić.

Wsiadł do samochodu i od razu sięgnął przycisku klimatyzacji. Powietrze wewnątrz pojazdu w zaledwie kilka sekund stało się niemal mroźne. Właśnie takiej temperatury potrzebował. Ta na zewnątrz wyciskała siódme poty z mieszkańców Devine.

Gdy niecały kwadrans później dotarł wreszcie do niewielkiej kliniki, miał dobre drugie tyle w zapasie, żeby móc przygotować się na pierwszą pacjentkę.

Budynek z zewnątrz bardziej przypominał rodzinną posesję niż centrum medyczne, ale trzy lata temu, kiedy zdecydował się na otwarcie ośrodka, to właśnie na takiej domowej atmosferze najbardziej mu zależało. Usłyszał wtedy, że postępował wręcz heroicznie, on natomiast otwarcie krytykował służbę zdrowia i jej ograniczenia względem nieubezpieczonych obywateli. Uważał bowiem, że każdemu należała się opieka medyczna, niezależnie od statusu społecznego. Podjęcie tej decyzji i stworzenie czegoś dla najuboższych przyniosło mu coś na kształt ukojenia. Tym bardziej że był to jeden ze sposobów radzenia sobie po śmierci ukochanej.

Wspomnienia atakowały jego umysł, gdy zaciskał mocno dłonie na kierownicy, więc odgonił widmo przeszłości i upchnął je głęboko w środku. Nie mógł pozwolić, by obrazy wydostały się na powierzchnię i przejęły nad nim kontrolę.

Wziął mocny, głęboki wdech, po czym powoli rozluźnił spięte mięśnie barków. Poczul, jak napięcie znika, a wraz z nim znikają także demony. W końcu złapał za klamkę i w tej samej chwili

zderzył się ze ścianą w postaci skwaru i dusznego powietrza. Wystarczyło dosłownie kilkanaście sekund w upale, a czoło już miał pokryte cienką warstwą wilgoci. Przemknął szybko w stronę głównego wejścia, żałując, że pokusił się o założenie jeansów. Nie przypuszczał jednak, że będą lepić mu się do dupy. Z ulgą znalazł się wewnątrz budynku, bo chłód z klimatyzatora w przyjemny sposób otulił jego nagrzaną skórę.

– Cześć, Olivia – przywitał się z recepcjonistką siedzącą przy niewielkich rozmiarów kontuarze, po czym oparł łokcie o blat.

Olivia Johanson, długonoga blondynka o twarzy iście anielskiej, kilka lat wcześniej cieszyła się sławą, jaką przyniósł jej stonowy tytuł miss nastolatek, i chociaż głupia nie była, to zapowiedało się, że utknęła w tej mieścinie na zawsze.

Dziewczyna rozpromieniła się, na policzkach zaś wykwitły jej delikatne rumieńce. Odkąd się tu przyjęła, właśnie w taki sposób na niego reagowała, czasami nawet potrafiła zapłatać się w odpowiedzi, co było niezwykle urocze. Jednak mimo że ją lubił i zaliczała się do grona pięknych kobiet, to nigdy nie przekroczył granicy szef-pracownik.

– Dzień dobry, Hunter. Pani Wolansky się rozchorowała. Nie da rady dzisiaj przyjść.

Podala mu czarną podkładkę z klipsem, pod który wetknięta została kartka z pacjentami na dzisiaj. Reszta dokumentacji znajdowała się w folderach, w wersji zarówno elektronicznej, jak i papierowej.

– Zadzwoń do niej. Powiedz, że przyjadę w porze obiadu – zdecydował natychmiast. Dbał o tych, którzy potrzebowali pomocy, a posiłek śmiało mógł sobie odpuścić.

– Dobrze.

Olivia złapała za telefon, dlatego też odbił się od blatu i przeszedł w stronę swojego gabinetu.

Zasiadł wreszcie na grafitowym obrotowym fotelu, słysząc ciche skrzypnięcie, gdy ten opadł pod jego ciężarem. Odetchnął

głęboko, palcami zaś przeczesał blond kosmyki, które nieznacznie opadały mu na czoło. W tym samym momencie usłyszał pukanie, jednak zanim zdołał zareagować, drzwi się uchyliły, ukazując w całej okazałości postać drobnej blondynki – pediatry w tym ośrodku.

– Ruszaj tyłek, Palmer. Przywieźli mi pięciolatka z ostrym bólem brzucha. Potrzebuję konsultacji.

– Już idę.

Kiedy kobieta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, przeniósł spojrzenie na biurko, na którym w jednym z rogów stała ramka. Sunął wzrokiem po konturach uśmiechniętej twarzy uwiecznionej na fotografii, po wyrazistych kościach policzkowych, po zmarszczkach mimicznych, utworzonych w kącikach oczu. Śmiała się, chociaż wiedział, że cierpiała. Czasami ból był tak silny, że kuliła się na łóżku, nie mając siły wstać, a mimo to witała nowy dzień z radością w każdym geście, słowie. Dzięki niej, a może tak w zasadzie wypadałoby stwierdzić, że przez nią, zdecydował się na klinikę non-profit. Gdyby ona trafiła na taki ośrodek, możliwe, że nadal by żyła, jednak nie posiadała ubezpieczenia, więc tłumiała objawy środkami przeciwbólowymi, odkładając wizytę na potem. Niestety potem trafiła na niego i było za późno, choć walczyli zaciekle. Rak dał im kilkanaście miesięcy i nie żałował ani jednej spędzonej z nią chwili, ani jednej minuty.

Wstając, jeszcze raz popatrzył na zdjęcie. Beatrice, zdrobniałe Bea. Z pacjentki stała się jego partnerką, a brak etyki w tym konkretnym przypadku najzupełniej w świecie zignorował. Był przy niej w ostatniej sekundzie jej życia.

Wyrwał się z macek przeszłości, by całkowicie skupić na tym, co było tu i teraz. Wierzył, że los w końcu się do niego uśmiechnie i da mu kogoś, kto wypełni palącą pustkę.

Narzucił na siebie biały kitel i cicho zamknął za sobą drzwi.